

Isaac Asimov

Przestrzeń życiowa

(Living Space)

Science Fiction Stories, May 1956

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the short story "Living Space" by Isaac Asimov.

This etext was produced from Science Fiction Stories, May 1956. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Clarence Rimbrow nie miał żadnych obiekcji w związku z zamieszkiwaniem jedyne go domu na, poza tym, niezamieszkałej planecie, podobnie jak nie miał również nikt z pozostałych, z równego biliona Ziemiaków.

Jeżeli ktoś spytałby go o możliwe obiekcje, bez wątpienia popatrzyłby na pytającego beznamiętnym wzrokiem. Jego dom był dużo większy, niż byłoby to możliwe na Ziemi-właściwej, i znacznie bardziej nowoczesny. Miał niezależny system dostawy powietrza i wody; dużo żywności w pomieszczeniach chłodzących. Był izolowany od niezdanej do życia planety, na której się znajdował, przy pomocy pola siłowego, ale pomieszczenia zostały zbudowane wokół pięcioakrowej farmy (pod szkłem, oczywiście), która w doskonałym świetle słonecznym planety, pozwalała na uprawę kwiatów dla przyjemności i warzyw dla zdrowia. Można było nawet trzymać parę kurczaków. Dawało to pani Rimbrow możliwość zrobienia czegoś ze swoimi popołudniami i miejsce dla dwóch małych Rimbrow, w którym mogli się bawić, kiedy byli już znużeni siedzeniem w domu.

Ponadto, jeżeli ktoś chciał znaleźć się na Ziemi-właściwej; jeżeli ktoś tego naprawdę potrzebował; jeżeli musiał mieć wokół siebie ludzi, powietrze, którym mógłby oddychać na otwartej przestrzeni, albo wodę, w której chciałby pływać – wystarczyło tylko wyjść na zewnątrz, frontowymi drzwiami domu.

A więc, na czym polegał problem?

Pamiętajmy również, że na pozbawionej życia planecie, panowała kompletna cisza, poza okazjonalnymi, monotonnymi efektami wiatru, czy deszczu. Miało się poczucie absolutnej prywatności i posiadania na własność dwustu milionów mil kwadratowych powierzchni planety.

Clarence Rimbrow doceniał wszystko to, w pewien mglisty sposób. Był księgowym, znającym się na wykorzystaniu bardzo zaawansowanych modeli komputerowych. Człowiekiem dokładnym, jeżeli chodzi o sposób swego zachowania i ubioru; nie bardzo skłonny do uśmiechu, pod swym cienkim, dobrze utrzymanym wąsikiem; i odpowiednio świadomym swojej wartości. Jadąc z pracy do domu mijał sporadyczne domostwa na Ziemi-właściwej i nie mógł się powstrzymać, aby nie patrzeć na nie z poczuciem pewnego zadowolenia z siebie.

No cóż, albo z powodów biznesowych, albo na skutek umysłowej perwersji, niektórzy ludzie po prostu musieli mieszkać na Ziemi-właściwej. Mieli naprawdę pecha. Pomimo wszystko, grunty Ziemi-właściwej musiały dostarczyć minerałów i podstawowych zasobów żywności dla biliona mieszkańców (za pięćdziesiąt lat, ma być to dwa biliony), a kosmos był tylko dodatkiem. Domy na Ziemi-właściwej zwyczajnie nie mogły być

większe od tego tutaj; a ludzie w nich mieszkający, musieli się do tego faktu dostosować.

Nawet sam proces wejścia do swojego domu, sprawiał mu lekką przyjemność. Rimbro musiał pójść do publicznej stacji wplotu, do której był przydzielony (wyglądała, podobnie jak wszystkie pozostałe, jak dosyć przysadzisty obelisk), gdzie niezmiennie napotykał innych ludzi, czekających na jej użycie. Były to bardzo towarzyskie chwile.

— Jak tam pańska planeta? A jak ma się pańska? — Zwykle pogaduszki. Czasami ktoś właśnie miał jakieś kłopoty – awarie maszyn, albo problemy z pogodą, mogące niekorzystnie wpływać na otaczający teren. Niezbyt często.

Ale konwersacyjne banały, pozwalały wypełnić czas; po nich Rimbro znajdował się już na przedzie kolejki. Wkładał swój klucz do szczeliny, co powodowało wstukanie odpowiedniej kombinacji; i wplatany był w nowy wzorec prawdopodobieństwa – swój własny, określony wzorec prawdopodobieństwa. Ten sam, który przydzielono mu, kiedy się ożenił i stał się produktywnym obywatelem – wzorec prawdopodobieństwa, w którym życie na Ziemi nigdy się nie rozwinęło. I wpleciony w tą określoną, pozbawioną życia Ziemię, mógł wejść do swego przedpokoju.

I tylko tyle.

Rimbro nigdy nie przejmował się tym, że mieszkał w innym prawdopodobieństwie; niby czemu miałoby go to martwić? W ogóle o tym nie myślał. Istniała nieskończona liczba możliwych Ziem, a każda z nich znajdowała się w swojej własnej niszy, w swoim własnym wzorcu prawdopodobieństwa. Ponieważ na planecie takiej jak Ziemia, szansa powstania życia wynosiła – zgodnie z obliczeniami – mniej więcej pół na pół, połowa ze wszystkich możliwych Ziem (czyli ciągle nieskończenie wiele, jako że połowa nieskończoności to też nieskończoność) posiadała życie, a połowa (również nieskończenie wiele) nie posiadała. Dostarczając miejsca do życia dla około trzystu miliardów rodzin, z których każda miała własny, przepiękny dom, zasilany przez słońce tego prawdopodobieństwa, i każda była pewna swojego spokoju. Liczba zajmowanych w ten sposób Ziem, wzrastała każdego dnia o miliony.

Aż, pewnego dnia, Rimbro wrócił do domu i Sandra (jego żona) poskarżyła się mu, kiedy stanął w drzwiach.

— Usłyszałam jakiś bardzo dziwny hałas.

Brwi Rimbro skoczyły w górę i dokładniej przyjrzał się żonie. Poza lekkim drżeniem szczupłych rąk i bladością w okolicach kącików zaciśniętych ust, wyglądała zupełnie normalnie.

Rimbro stwierdził, ciągle trzymając w ręku swój płaszcz, na wpół wyciągnięty w stronę serwetki, która czekała na niego z mechaniczną cierpliwością.

— Hałas? Jaki hałas? Nic nie słyszę.

— Bo teraz ucichł — odparła Sandra. — Naprawdę, brzmiało to jak jakieś głucho walenie albo dudnienie. Słyszać je było przez chwilę, a

potem ustało. Potem znów było je słyszać i znowu ustało, i tak dalej. Jeszcze nigdy nie słyszałam czegoś podobnego.

Rimbro oddał swój płaszcz.

— Ale to jest zupełnie niemożliwe.

— Słyszałam to.

— Przejrzę maszyny — wymamrotał. — Coś może się psuć.

Wszystko było w porządku, a przynajmniej przy pobieżnym oglądzie jego oko księgowego nic nie znalazło. Rimbro poszedł i zjadł kolację. Nasłuchiwał jak serwetki mruczą, wykonując różne przydzielone im prace domowe, przyglądał się jak jedna z nich zbiera talerze i sztucze do usunięcia albo odzysku, a potem powiedział, marszcząc usta:

— Może psuje się jedna z serwetek. Sprawdzę je później.

— To tak nie brzmiało, Clarence.

Rimbro poszedł do łóżka, nie zastanawiając się dłużej nad tą sprawą – i obudziła go dłoń żony, potrząsająca go za ramię. Wyciągnął automatycznie rękę do przycisku kontaktu, włączającego oświetlenie ścian.

— Co się stało? Która jest godzina?

Pokręciła głową.

— Słuchaj! Słuchaj!

Dobry Boże, pomyślał Rimbro, rzeczywiście coś hałasuje. Wyrażnie dudnienie; dobiegało i ustawało.

— Trzęsienie ziemi? — wyszeptał. Oczywiście, takie rzeczy się zdarzały – chociaż z tymi wszystkimi planetami, jakie są do wyboru, można by generalnie liczyć na uniknięcie obszarów sejsmicznych.

— Trwające przez cały dzień? — spytała zaniepokojona Sandra. — Wydaje mi się, że to coś innego. — A potem wyrzuciła z siebie skrywany horror każdego nerwowego posiadacza domu. — Myślę, że ktoś jest z nami na tej planecie. Ta Ziemia jest zamieszкана.

Rimbro podjął logiczne kroki. Następnego dnia rano, zabrał żonę i dzieci do teściowej. Sam wziął sobie dzień wolnego i pospieszył do sektorowego Biura Administracji Domami.

Był tym wszystkim solidnie rozdrażniony.

Bill Ching z Biura Administracji Domami był niskim, jowialnym człowiekiem, bardzo dumnym ze swoich w połowie mongolskich przodków. Wierzył święcie, że wzorce prawdopodobieństwa rozwiązały ostatecznie problemy ludzkości. Alec Mishnoff, także z Biura Administracji Domami, dla odmiany uważał, że wzorce prawdopodobieństwa są pułapką, do której ludzkość została zwabiona bez nadziei ratunku. Mishnoff pierwotnie specjalizował się w archeologii i studiował rozmaite zagadnienia z okresu starożytności, którymi jego pozostająca w delikatnej równowadze głowa, ciągle była wypełniona. Jego twarz nadal zachowała wrażliwy wygląd – pomimo ciężkich, opadających brwi – i żył hołubiąc swoją ulubioną ideę, o

której jak do tej pory nie ośmielił się nikomu powiedzieć, chociaż to właśnie ona spowodowała jego przejście od archeologii do zarządzania domami.

Ching lubił powiedzenie:

— Do diabła z Malthusem!.

To był niemalże jego słowny znak firmowy.

— Do diabła z Malthusem! Teraz jest już niemożliwe, żeby wystąpiło u nas przeludnienie! Niezależnie od tego, jak często liczba ludzi będzie się podwajać i podwajać ponownie, Homo Sapiens pozostanie gatunkiem o skończonej liczbie osobników, a liczba niezamieszkanych Ziemi, pozostanie nieskończona. A przecież nie musimy umieszczać jednego domu na każdej planecie; możemy zbudować ich sto, tysiąc, milion! Mamy mnóstwo przestrzeni i mnóstwo energii ze słońca z każdego prawdopodobieństwa.

— Więcej niż jeden na planecie? — kwaśno spytał Mishnoff.

Ching dokładnie wiedział o co chodzi Alecowi. Kiedy wzorce prawdopodobieństwa zostały wykorzystane po raz pierwszy, wyłączenie posiadanie całej planety było silnym bodźcem dla pierwszych osadników. Przemawiało to tkwiącego w każdym człowieku snoba i despoty. Kto z ludzi jest aż tak biedny, głosił slogan, żeby nie posiadać imperium większego niż Dżyngis Chan? Wprowadzenie wielokrotnych zasiedleń teraz, wzbudziłoby wściekłość wszystkich.

Ching odparł ze wzruszeniem ramion:

— No dobrze, trzeba by podjąć przygotowania psychologiczne. I co z tego? To było potrzebne przede wszystkim do rozpoczęcia tego całego interesu.

— A żywność? — spytał Mishnoff.

— Wiesz przecież, że w innych wzorcach prawdopodobieństwa umieszczamy instalacje hydroponiczne i fabryki drożdży. A jeżeli będziemy musieli, możemy uprawiać na nich ziemię.

— W skafandrach kosmicznych i sprowadzając tlen.

— Moglibyśmy rozkładać dwutlenek węgla i otrzymywać tlen, dopóki nie weszłyby do akcji rośliny i nie zaczęły wykonywać tej roboty za nas.

— Mając milion lat.

— Mishnoff, kłopot z tobą polega na tym — stwierdził Ching, — że za dużo się naczytałeś starożytnych książek historycznych. Jesteś obstrukcjonistą.

Ching był zbyt dobrodusznym człowiekiem, żeby naprawdę tak myśleć, i Mishnoff nadal mógł sobie czytać swoje książki i zamartwiać się. Mishnoff jednak tęsknił za dniem, w którym zbierze w sobie dostatecznie dużo odwagi, aby zobaczyć się z Kierownikiem Sekcji i wyłożyć na stół – tak po prostu, trzask – wszystko, co go martwiło.

Ale teraz stał przed nimi pan Clarence Rimbro, lekko zdyszany i potężnie rozgniewany faktem, że dotarcie tak wysoko w hierarchii Biura, zajęło mu niemal dwa dni.

Osiągnął apogeum swojego wystąpienia, oznajmiając:

— A ja twierdzę, że planeta jest zamieszкана i nie mam zamiaru się o to spierać.

Wysłuchawszy do końca jego opowieści, Ching spróbował podejścia uspakajającego. Stwierdził:

— Ten hałas prawdopodobnie jest efektem jakiegoś zjawiska naturalnego.

— Jakiego rodzaju zjawiska naturalnego? — dopytywał się Rimbro. — Domagam się sprawdzenia tego. Jeżeli jest to zjawisko naturalne, chcę wiedzieć jakiego rodzaju. Ja twierdzę, że to miejsce jest zamieszkanе; istnieje tam jakieś życie i, na Boga, nie mam zamiaru płacić za wynajmowanie planety, którą muszę się z nim dzielić. W dodatku z dinozaurami, sądząc po odgłosach.

— Niech pan posłucha, panie Rimbro, od jak dawna mieszka pan na swojej Ziemi?

— Piętnaście i pół roku.

— Czy kiedykolwiek stwierdził pan jakieś oznaki istnienia życia?

— W tej chwili stwierdzam i jako obywatel z historią produktyjności zakwalifikowaną do kategorii A1, domagam się zbadania tego.

— Oczywiście, że to zbadamy, proszę pana; ale już teraz chcielibyśmy pana zapewnić, że wszystko jest w najlepszym porządku. Czy zdaje pan sobie sprawę, jak pieczołowicie wybiera się nasze wzorce prawdopodobieństwa?

— Jestem księgowym. Zdaje sobie sprawę całkiem nieźle — natychmiast zaripostował Rimbro.

— A więc, z pewnością wie pan, że komputery nie mogą nas zawieść. Nigdy nie wybiorą prawdopodobieństwa, które już wcześniej zostało wybrane; nie ma takiej możliwości. Przy tym ograniczają się tylko do wyborów spośród wzorców prawdopodobieństwa, w których Ziemia ma atmosferę z dwutlenku węgla, czyli takich, gdzie życie roślinne — a co za tym idzie zwierzęce — nigdy się nie rozwinęło. Ponieważ gdyby doszło do wyewoluowania roślin, dwutlenek węgla zostałby rozłożony na tlen. Czy pan to rozumie?

— Rozumiem to i to doskonale, ale nie przyszedłem tutaj żeby wysłuchiwać wykładów — najeżył się Rimbro. — Wszystko co od was chcę, to właściwe zbadanie tego przypadku i nic więcej. Kiedy pomyślę sobie, że mogę dzielić moją planetę — moją własną planetę — z kimś lub czymś innym, czuję się wręcz upokorzony; i nie mam zamiaru dłużej tego znosić.

— Nie, oczywiście, że nie — wymamrotał Ching, unikając sardonicznego spojrzenia Mishnoffa. — Będziemy u pana jeszcze przed wieczorem.

Byli w drodze do centrum wplotu, z pełnym zestawem sprzętu.

Mishnoff powiedział:

— Chciałbym cię o coś zapytać. Dlaczego zawsze przechodzisz przez tę procedurę „Nie ma potrzeby się martwić, proszę pana”? Oni i tak się martwią, więc po co ci to?

— Muszę spróbować. Oni nie powinni się martwić — odparł pogodnie Ching. — Czy słyszałeś kiedyś, żeby planeta o atmosferze z dwutlenku węgla była zamieszкана? Poza tym Rimbrow jest typem panikarza. Potrafię wyczuć takich ludzi. Do czasu kiedy to wszystko się skończy, jeżeli się go nie uspokoi, będzie biegał i krzyczał, że jego słońce przechodzi w nową.

— To się czasami zdarza — zauważył Mishnoff.

— No i co? Zostałby zniszczony jeden dom i zginęłaby jedna rodzina. Posłuchaj, jesteś obstrukcjonistą. W dawnych czasach — które tak uwielbiasz — jeżeli gdzieś wydarzyła się powódź, w Chinach, czy gdzie indziej, mogły zginąć tysiące ludzi. I to przy populacji wynoszącej marny miliard, czy dwa.

Mishnoff wymamrotał:

— A skąd wiesz, że na planecie Rimbrow nie ma życia?

— Atmosfera z dwutlenku węgla.

— Przypuśćmy jednak... — To nie miało sensu; Mishnoff nie mógł tego powiedzieć. Dokończył więc kulawo. — Przypuśćmy, że życie roślinne i zwierzęce rozwinęło się tak, by mogło żyć w atmosferze z dwutlenku węgla.

— Nigdy czegoś takiego nie zaobserwowano.

Przy nieskończonej liczbie planet, może wydarzyć się wszystko. — Dokończył to niemal szeptem. — Wszystko musi się wydarzyć.

— Szansa jest jak jeden do sekstyliarda — stwierdził Ching, wzruszając ramionami.

Dotarli wreszcie do stacji wplotu, i skorzystali tam z wplotu frachtowego dla swojego pojazdu (w ten sposób przesyłając go do magazynu Rimbrow), a następnie sami weszli do wzorca prawdopodobieństwa Rimbrow. Jako pierwszy Ching, a następnie Mishnoff.

— **N**iezły dom — zauważył Ching z satysfakcją. — Bardzo ładny model; dobry smak.

— Słyszysz coś? — spytał Mishnoff.

— Nie.

Ching zawędrował do ogrodu.

— Hej! — wrzasnął. — Rhode Island Red¹.

Mishnoff szedł za nim, spoglądając w górę, na szklany dach. Słońce wyglądało jak słońce na bilionie innych Ziemi.

Zauważył, mimochodem:

— Może życie roślinne właśnie dopiero zaczyna się rozwijać. Zawartość dwutlenku węgla może zaczynać opadać. Komputer tego by nie wiedział.

— Tyle że pojawienie się życia zwierzęcego wymagałoby wielu milionów lat. Kolejne wiele milionów potrzebne jest na jego wyjście z morza.

— Życie niekoniecznie musi podążać za tym wzorcem.

Ching położył rękę na ramieniu partnera.

¹ Rasa kur (przyp. tłum.)

— Znow się zamyśliłeś. Pewnego dnia, powiesz mi, co naprawdę cię trapi, zamiast tylko sugerować. Wtedy będziemy mogli to wszystko wyprostować.

Mishnoff zmarszczył z rozdrażnieniem brwi i ruchem ramienia zrzucił otaczającą je rękę. Tolerancja Chinga zawsze była trudna do zniesienia. Zaczął mówić:

— Przestań psycho-terapeutyzować... — Przerwał jednak i wyszeptał: — Posłuchaj.

To było odległe dudnienie. I znowu.

Na środku pokoju ustawili sejsmograf, aktywowali pole siłowe, penetrujące podziemne warstwy i oparli je sztywno o podłoże skalne. Obserwowali drżącą igłę, rejestrującą wstrząsy.

Mishnoff stwierdził:

— Fale rozchodzą się tylko po powierzchni; wyłącznie powierzchniowe. Pod ziemią nic nie ma.

Ching wyglądał trochę bardziej ponuro.

— A więc, co to może być?

— Myślę — odparł Mishnoff, — że lepiej będzie jak to sprawdzimy. — Twarz poszarzała mu ze strachu. — Musimy ustawić drugi sejsmograf w innym miejscu i namierzyć ognisko zaburzenia.

— Oczywiście — odparł Ching. — Wyjdę na zewnątrz z drugim sejsmografem; ty zostań tutaj.

— Nie — powiedział Mishnoff, energicznie, — To ja wyjdę na zewnątrz.

Mishnoff czuł przerażenie, ale nie miał wyboru. Jeżeli to było to, czego się spodziewał, to powinien być choć trochę przygotowany; powinien być w stanie dostrzec jakieś sygnały ostrzegawcze. Wysłanie nic niepodważającego Chinga, mogłoby przynieść katastrofalne skutki. Nie mógł też ostrzec go teraz, z pewnością by mu nie uwierzył.

Jako że Mishnoff nie był ulepiony z bohaterskiej gliny, cały się trząsł, zakładając na siebie skafander tlenowy, przypinając do pasa disrupter i próbując rozproszyć pole siłowe w określonym miejscu, w celu otworzenia wyjścia bezpieczeństwa.

— Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego to ty chcesz iść — spytał Ching. — Ja, naprawdę chętnie to zrobię.

— Wszystko w porządku — odparł Mishnoff, z suchym gardłem, i wszedł do śluzy prowadzącej na opuszczoną powierzchnię pozbawionej życia Ziemi. Przypuszczałnie pozbawionej życia Ziemi.

Widok nie był zupełnie obcy dla Mishnoffa; widział coś podobnego już parędziesiąt razy. Nagie skały, zerodowane przez wiatry i deszcze, w zagłębieniach przysypane warstwą piasku. Mały i hałaśliwy strumyk, objający się o skały swego kamiennego łóżyska. Wszystko brązowe i szare. Żadnych oznak zieleni; ani śladu życia.

A jednak słońce było takie samo; a kiedy zapadnie noc, na niebie widać będzie same konstelacje.

Umiejscowienie tego domu mieszkalnego, na Ziemi-właściwej, odpowiadałoby regionowi nazywanemu Labrador. (Tutaj również to był Labrador, naprawdę. Obliczono, że nie więcej niż na jednej na miliard Ziemi, istniały znaczące zmiany w ukształtowaniu geologicznym. Kontynenty wszędzie były rozpoznawalne, nawet do stosunkowo niewielkich detali).

Wbrew temu umiejscowieniu i porze roku (był właśnie październik), temperatura była wręcz upalna, z powodu efektu cieplarnianego wywołanego przez obecność dwutlenku węgla w martwej atmosferze Ziemi.

Z wnętrza swego skafandra, Mishnoff obserwował to wszystko ponuro przez przejrzystą płytę hełmu. Jeżeli epicentrum hałasu znajdowało się gdzieś w pobliżu, umieszczenie drugiego sejsmografu w odległości jakiejś mili, powinno być wystarczające dla uzyskania namiaru. Jeżeli było gdzieś dalej, powinien zabrać ze sobą skuter powietrzny. No cóż, na początek przyjmijmy mniej skomplikowaną sytuację.

Metodycznie, ruszył w drogę pod górę skalistego wzniesienia. Kiedy wejdzie na szczyt, będzie mógł wybrać sobie odpowiednie miejsce.

Znalazłszy się na wierzchołku, zasapany i czując panujące gorąco jako wyjątkowo niemiłe, stwierdził, że może dać sobie spokój z dalszą robotą.

Serce waliło mu tak głośno, że Mishnoff ledwie słyszał swój własny głos, krzyczący do znajdującego się przy ustach mikrofonu radiowego.

— Hej, Ching, mamy tutaj jakąś budowę!

— Co? — do jego uszu nadleciała przerażona odpowiedź.

Nie było mowy o pomyłce. Wyrównywano grunt, wszystkie maszyny były przy pracy; wysadzano skały.

Mishnoff zawołał:

— Oni tu wysadzają. Stąd te hałasy.

Ching odpowiedział:

— Ależ, to przecież niemożliwe. Komputer nie może wybrać dwukrotnie tego samego wzorca prawdopodobieństwa. Po prostu nie może.

— Nie rozumiesz... — zaczął Mishnoff.

Ale Ching już podążył za nim, swoimi własnymi procesami myślowymi.

— Zostań tam na górze, Mishnoff. Ja też wychodzę na zewnątrz.

— Nie, do diabła, ty zostajesz tam — zawołał Mishnoff, zaalarmowany.
— pozostawaj w kontakcie radiowym ze mną i na miłość Boską, bądź gotowy do natychmiastowej ucieczki na Ziemię-właściwą, kiedy tylko dam ci sygnał.

— Dlaczego? — dopytywał się Ching. — Co się dzieje?

— Jeszcze nie wiem — odparł Mishnoff. — Daj mi szansę, żeby się dowiedzieć.

Ku własnemu zaskoczeniu, zauważył, że szczękają mu zęby.

Wymrukując bezgłośnie przekleństwa na komputer, na wzorce prawdopodobieństwa i na nienasyconą żądzę przestrzeni życiowej dla kolejnych części bilionowej populacji istot ludzkich, rozrastającej się licznie jak obłok dymu, Mishnoff ześlizgiwał się i zjeżdżał po przeciwnym zboczu wzgórza, powodując staczanie się kamieni i wzniecając dziwne echa.

Na spotkanie wyszedł mu człowiek, ubrany w gazoszczelny skafander, różniący się wieloma szczegółami od tego, który miał na sobie Mishnoff, ale ewidentnie, przeznaczony do tych samych celów – dostarczania tlenu do płuc.

Mishnoff wysapał bezgłośnie do swojego mikrofonu:

— Uważaj, Ching; zbliża się do mnie jakiś człowiek. Pozostawaj w kontakcie.

Mishnoff poczuł, że serce bije mu nieco lżej, a miechy płuc pracują mniej intensywnie.

Dwóch mężczyzn stało jeden przed drugim. Drugi człowiek był blondynem i miał kanciastą twarz. Wyraz zaskoczenia na niej, był zbyt wyraźny, aby mógł być udawany.

Odezwał się, ochrypłym głosem:

— Wer sind Sie? Was machen sie hier?

W Mishnoffa jakby strzelił piorun. Przez dwa lata studiował starożytny niemiecki, jeszcze w czasach kiedy miał zamiar zostać archeologiem. Nadażał więc za słowami rozmówcy, pomimo tego, że jego wymowa była odmienna od tego, czego go uczono. Obcy pytał go o jego tożsamość i co tutaj robi.

Mishnoff wyjąkał głupawo:

— Sprechen Sie Deutsch?

Potem musiał wymruczeć kilka uspakajających słów do Chinga, który podnieconym głosem w słuchawce domagał się odpowiedzi, co w ogóle ma oznaczać ten bełkot.

Niemieckojęzyczny osobnik nie udzielił bezpośredniej odpowiedzi. Powtórzył:

— Wer sind Sie? — i dodał niecierpliwie: — Her ist für ein närrischen Spaß kein Zeit.

Mishnoff nie odbierał tego wszystkiego jako żart, a już szczególnie nie jako głupi – ale kontynuował:

— Sprechen Sie Planetisch?

Nie wiedział jak po niemiecku będzie „planetarny język standardowy”, a więc musiał się domyślać. Poniewczasie pomyślał, że mógł określić go po prostu jako angielski.

Drugi mężczyzna wpatrywał się w niego z niedowierzaniem:

— Sind Sie wahnsinnig?

Mishnoff niemal skłaniał się na to zgodzić, ale w słabym odruchu samoobronnym stwierdził:

— Nie zwariowałem, do diabła. Chciałem powiedzieć, Auf der Erde woher Sie ist gekom...

Dał sobie spokój z dalszym ciągiem, z powodu swoich braków w niemieckim, ale w głowie zaświtał mu nowy pomysł, który nie był taki głupi. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby tego spróbować. Zapytał, desperacko:

— Welches Jahr ist es jetzt?

Przypuszczalnie obcy – który już wcześniej kwestionował jego zdrowie psychiczne – teraz, po pytaniu o to który mamy rok, będzie całkowicie przekonany o jego obłądnie, ale było to jedyne pytanie, do którego Mishnoff dysponował odpowiednią wiedzą z niemieckiego.

Obcy wymamrotał pod nosem coś, co zabrzmiało podejrzenie podobnie do całkiem niezłej wiązanki niemieckich przekleństw, a potem powiedział:

— Es ist doch drei-und-zwanzig vier-und-sechzig, und warum...

Strumień niemieckich słów, który nastąpił potem, był dla Mishnoffa kompletnie niezrozumiały; ale w każdym razie w tej chwili miał wystarczająco dużo informacji. Jeżeli poprawnie przetłumaczył, podany mu rok, to 2364, a więc niemal dwa tysiące lat w przeszłości. Jak to było możliwe?

Wymamrotał:

— Drei-und-zwanzig vier-und-sechzig?

— Ja, ja — stwierdził tamten z głębokim sarkazmem. — Drei-und-zwanzig vier-und-sechzig. Der ganze Jahr lang ist es so gewesen.

Mishnoff wzruszył ramionami. Stwierdzenie, że do dyspozycji był cały rok – było kiepskim żartem – nawet po niemiecku – i nic nie zyskiwało w tłumaczeniu. Zastanawiał się.

Wtedy jednak ten drugi dodał ironicznym tonem, pogłębiającym jeszcze niemiecką wymowę:

— Drei-und-zwanzig vier-und-sechzig nach Hitler. Hilft Ihnen vielleicht? Nacht Hitler!

Mishnoff wrzasnął z zachwytem:

— Jasne, że to mi pomaga! Es hilft! Hören Sie bitte... — kontynuował łamanym niemieckim, przeplatany kawałkami planetarnego. — Na miłość Boską, um Gottes willen...

Jeżeli to był rok 2364 po Hitlerze, to zmieniało zupełnie całą sytuację.

Desperacko starał się poskładać razem niemieckie słowa, próbując wyjaśnić sytuację.

Jego rozmówca zmarszczył brwi i coraz bardziej się zastanawiał. Uniósł swą otuloną w rękawicę dłoń, aby podrapać się po podbródku, czy też wykonać jakiś równoważny gest, i trafił nią w przezroczystą przyłbicę swojego hełmu. Jego ręka pozostała tam, bezsensownie, podczas gdy on się namyślał.

Nagle, przedstawił się:

— Ich heiss George Fallenby.

Mishnoffowi wydało się, że nazwisko jego rozmówcy musi być pochodzenia anglosaskiego, chociaż zmiany w wymowie form samogłosek, brzmiały trochę teutońsko.

— Guten Tag — odparł niezgrabnie Mishnoff. — Ich heiss Alec Mishnoff — i nagle zdał sobie sprawę ze słowiańskiego pochodzenia swego własnego nazwiska.

— Kommen Sie mit mir, Herr Mishnoff — powiedział Fallenby.

Mishnoff poszedł za nim z napiętym uśmiechem na twarzy, mrucząc do mikrofonu swego nadajnika radiowego:

— Wszystko w porządku, Ching; wszystko w porządku.

Po powrocie na Ziemię-właściwą, Mishnoff stanął przed kierownikiem Biura Sektora, który zestarzał się w służbie; każdy jego siwy włos oznaczał problem napotkany i rozwiązany, a każdy brakujący włos, problem ominięty. Był to bardzo ostrożny człowiek, ale jego oczy ciągle były jasne, a zęby własne. Nazywał się Berg.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

— I, oni mówią po niemiecku? Ale przecież niemiecki, który pan studiował, pochodzi sprzed dwóch tysięcy lat.

— To prawda — odparł Mishnoff. — Ale angielski używany przez Hemingwaya także ma już dwa tysiące lat, a planetarny jest mu na tyle bliski, że każdy jest w stanie go czytać.

— Hmm. A kim był ten Hitler?

— To był ktoś w rodzaju plemiennego wodza w dawnych czasach. Poprowadził plemię Niemców, do jednej z wojen dwudziestego stulecia... tuż przed początkiem Ery Atomowej i rozpoczęciem prawdziwej historii.

— Przed Zniszczeniem, chciał pan powiedzieć?

— Zgadza się. Wtedy mieliśmy do czynienia z szeregiem wojen; wygrały je kraje anglosaskie i przypuszczam, że właśnie dlatego na Ziemi mówi się planetarnym.

— A gdyby wojny wygrali Hitler i ci jego Niemcy, świat wtedy mówiłby po niemiecku?

— Oni wygrali na Ziemi, z której pochodzi Fallenby, i mówi się tam po niemiecku.

— I zmienili swój kalendarz na „po Hitlerze”, zamiast n.e.?

— Ma pan rację. Przypuszczam, że istnieją Ziemie, na których wygrały plemiona słowiańskie i wszyscy mówią po rosyjsku.

— Jakoś — stwierdził Berg, — wydaje mi się, że powinniśmy to przewidzieć; a o ile wiem, nikt o tym w ogóle nie pomyślał. Pomimo wszystko, istnieje nieskończenie duża liczba zamieszkałych Ziem; nie możemy być jedynymi, którzy zdecydowali się rozwiązać problem nieograniczonego wzrostu populacji, poprzez ekspansję na światy prawdopodobieństwa.

— Dokładnie — gorliwie przytaknął mu Mishnoff. — W dodatku zdaje mi się, że — jeśli już tak dłużej o tym pomyśleć — musi istnieć nawet nieskończona liczba zamieszkałych Ziem, które tak postępują i dlatego na

każdej z zajętych przez nas planet, może występować wielu mieszkańców. Jedynym powodem dla którego wychwyciliśmy ten przypadek, jest to, że czystym zrządzeniem losu oni zdecydowali się na rozpoczęcie budowy, w odległości poniżej mili od domu umieszczonego tu przez nas. Jest to coś, co musimy sprawdzić.

— Sugeruje pan, że powinniśmy przeszukać wszystkie nasze Ziemie.

— Tak, proszę pana. Musieliśmy zrobić część zasiedleń wspólnie z innymi zamieszkałymi Ziemiami. Pomimo wszystko, miejsca wystarczy dla nas wszystkich; zaś ekspansja bez porozumień między nami, może skutkować wszelkiego rodzaju kłopotami i konfliktami.

— Tak — przyznał z zamyśleniem Berg. — Zgadzam się z panem.

Clarence Rimbro wpatrywał się podejrzliwie w starą twarz Berga, której zmarszczki układały się w tej chwili w wyraz maksymalnej życzliwości.

— Czy jesteście już panowie pewni?

— Absolutnie — odparł Kierownik Sektora. — Bardzo nam przykro, że musiał pan się zgodzić na czasowe przekwaterowanie przez ostatnie dwa tygodnie...

— Raczej ponad trzy.

— ...trzy tygodnie, ale otrzyma pan odpowiednią rekompensatę.

— Co to był za odgłos?

— Czysto geologiczny, proszę pana. Jedna ze skał lekko się obłuzowała i przy porywach wiatru od czasu do czasu stukała o skałę zbocza. Usunęliśmy ją i sprawdziliśmy cały teren, aby się upewnić, że nic podobnego już tam nie wystąpi.

Rimbro wziął swój kapelusz i powiedział:

— No cóż, dziękuję bardzo za rozwiązanie problemu.

— Nie ma potrzeby, zapewniam pana, panie Rimbro. To przecież nasza praca.

Rimbro został odprowadzony do wyjścia i Berg odwrócił się do Mishnoffa, który pozostał cichym widzem tego zakończenia „sprawy Rimbro”.

Berg stwierdził:

— W każdym razie, ci Niemcy przyjęli to bardzo sympatycznie. Przyznali, że mamy w tym przypadku pierwszeństwo i wynieśli się. Powiedzieli, że miejsca wystarczy dla wszystkich. Jak się okazało, oni budują wiele domów, na zajętych przez siebie planetach. — Ponadto powstał projekt przebadania naszych planet i podpisania podobnych porozumień ze wszystkimi, których na nich znajdziemy. To również jest ściśle tajne. Ludzie nie mogą poznać tych zagadnień, bez szeregu wcześniejszych przygotowań. — To jednak nie są sprawy, o których chciałem z panem porozmawiać.

— Tak? — spytał Mishnoff. Rozwój sytuacji jakoś mocno go nie ucieszył; jego osobista zmora ciągle go prześladowała.

Berg uśmiechnął się do młodszego mężczyzny.

— Rozumie pan, panie Mishnoff, że my w Biurze i także w Rządzie Planetarnym – bardzo doceniamy pański sprawny intelekt i szybkie zrozumienie sytuacji. Gdyby nie było tam pana, to wszystko mogło się przekształcić w coś bardzo tragicznego. Nasze uznanie przyjmie bardziej namacalną postać.

— Dziękuję, proszę pana.

— Ale, jak już wcześniej mówiłem, ta sytuacja jest czymś, o czym wielu z nas powinno pomyśleć wcześniej. Jak więc panu to przyszło do głowy? Już wcześniej udało nam się wniknąć trochę w pański sposób myślenia. Pański współpracownik, Ching, mówił nam, że sugerował pan już w przeszłości, istnienie jakiegoś poważnego zagrożenia, związanego z naszym rozwiązaniem opartym na wzorcach prawdopodobieństwa, i że nalegał pan, aby to pan wyszedł na spotkanie Niemców – pomimo że był pan ewidentnie wystraszony. Przewidywał pan, co pan tam znajdzie, nieprawdaż? Jak pan to zrobił?

Mishnoff zaczął wyjaśniać ze zmieszaniem:

— Nie, nie. Ja o tym w ogóle nie myślałem. To było kompletne zaskoczenie. Ja...

Nagle zeszytniał. A dlaczego by mu nie powiedzieć? Dzisiaj byli mu bardzo wdzięczni. Dowiedział, że jest człowiekiem, którego opinii trzeba brać pod uwagę, a jedna nieoczekiwana okoliczność, właśnie się wydarzyła.

Oznajmił więc stanowczo:

— Chodzi o coś innego.

— Tak?

— (Jak tu zacząć?) W Układzie Słonecznym nie ma innych istot żywych, niż te żyjące na Ziemi.

— To prawda — dobrotliwie potwierdził Berg.

— A zgodnie z obliczeniami, prawdopodobieństwo wynalezienia technologii pozwalającej na jakąkolwiek formę podróży międzygwiazdnych jest takie niskie, że niemal nieskończenie małe.

— Do czego pan zmierza?

— To wszystko dotyczy tego prawdopodobieństwa! Ale muszą istnieć jakieś wzorce prawdopodobieństwa, w których w Układzie Słonecznym istnieje inne życie, albo w których mieszkańcy jakichś innych układów gwiazdnych zdołali zbudować napędy międzygwiazdne.

Berg zmarszczył brwi.

— Teoretycznie.

— W którymś z tych prawdopodobieństw, tego rodzaju istoty inteligentne mogą odwiedzić Ziemię. Gdyby stało się to we wzorcu prawdopodobieństwa, w którym Ziemia jest zamieszкана, nie miałoby to na nas wpływu. Nie mieliby połączenia do nas, do Ziemi-właściwej. Ale jeżeli stałoby się to we wzorcu prawdopodobieństwa, w którym Ziemia jest

niezamieszкана, i utworzyliby na niej coś w rodzaju bazy, to przy odrobinie szczęścia mogliby odnaleźć jeden z naszych domów.

— Dlaczego akurat nasz? — dopytywał się sucho Berg. — Dlaczego nie dom Niemców, na przykład?

— Ponieważ my ograniczamy się do jednego domu na planetę. Niemiecka Ziemia postępuje inaczej i prawdopodobnie niewiele tylko, robi tak jak my. Szanse są przeciwko nam jak miliardy do jednego. A jeżeli istoty pozaziemskie odkryją taki dom, to zbadają go i znajdą drogę na Ziemię-właściwą – wysoko rozwiniętą, bogatą planetę.

— Nie, jeżeli wyłączymy stację wplotu — zauważył Berg.

— **K**iedy już się dowiedzą, że coś takiego jak stacja wplotu istnieje, zbudują sobie swoje własne — odparł Mishnoff. — Rasa, która jest na tyle inteligentna, aby podróżować przez kosmos, będzie w stanie tego dokonać; a na podstawie znalezionej w domu sprzętu, łatwo będą mogli określić nasze prawdopodobieństwo. – Co wtedy, jakże moglibyśmy porozumieć się z istotami pozaziemskimi? To nie byłiby Niemcy, czy inni Ziemianie; mieliby zupełnie obcą psychologię i motyw działania. A my nawet się przed tym nie pilnujemy. Zajmujemy tylko coraz więcej i więcej planet, z każdym dniem zwiększając ryzyko tego, że...

Uniósł głos w podekscytowaniu i Berg krzyknął na niego:

— Nonsens! To wszystko jest po prostu śmieszne!

W tym momencie zabrzmiał brzęczyk i rozjaśnił się komekran, na którym pojawiła się twarz Chinga. Głos Chinga oznajmił:

— Przepraszam, że przerywam, ale...

— O co chodzi? — zaczął dopytywać się gwałtownie Berg.

— Jest tu u mnie jakiś człowiek, i nie wiem co z tym wszystkim zrobić. On jest albo pijany albo szalony; skarży się, że jego dom został otoczony i że przez szklany dach ogrodu przypatrują mu się jakieś stworzenia.

— Stworzenia? — zawołał Mishnoff.

— Purpurowe stworzenia, z wyraźnymi czerwonymi żyłami, trzema oczyma i czymś w rodzaju macek zamiast włosów. Mają też...

Ale Mishnoff i Berg nie słyszeli już reszty jego słów. Wpatrywali się w siebie nawzajem, w straszliwym przerażeniu.

KONIEC